

Czermiński, Adrian

Lata chmurne, lata górne : w socjalistycznej agencji prasowej

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 14/1, 117-137

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ADRIAN CZERMIŃSKI

LATA CHMURNE, LATA GÓRNE
W SOCJALISTYCZNEJ AGENCJI PRASOWEJ

Toczył się już rok 1948, na karku miałem rozwiązanie umowy z „Dziennikiem Polskim” i urlop roczny z MSZ, nadawałem jeszcze coś tam do Krakowa telefonem i dalekopisem SAP, korespondowałem i rozmawiałem osobiście z Balickim na temat przesyłania tych wiadomości, chodziłem do Sejmu obsługując sprawozdania i wyciągami z diariusza pisma czytelnikowskie i „Wiedzy”, zbliżał się marzec, a z nim moje ostatnie pobory za okres urlopowy w „Dzienniku” — ja zaś nadal byłem zawieszony w próżni, taki na pół wolny strzelec, bez etatu, mimo obiecanych mi gruszek na mającej dopiero wyrosnąć wierzbie.

Rafał Praga przyrzekał etat, ale nie dawał go, zatrudniając natomiast moje pióro, któremu zresztą nie szczędził grosza. Pieniądzy nie brakowało mi, jako że był jeszcze ów urlopowy odwód z „Dziennika” i różne inne wierszówki w pismach „Wiedzy” i „Czytelnika”. Stefan Świerzewski zamawiał obsługę Sejmu, chyba dla „Wieczoru Warszawskiego”, którego był redaktorem, Rawicz dla „Robotnika”; Praga płacił za przekazywanie i wybór wiadomości SAP dla „Dziennika” — ale etatu nie było i zarysowywało się przede mną coraz bardziej widmo wprawdzie nie bezrobocia, ale „bezetatyzmu” i związanej z tym niepewności. Przecież wszystko mogło nagle pęknąć.

Zacząłem więc przyciskać Rafała Pragę, który nie mógł się jakoś zdecydować, aby jednym słowem załatwić mi ten etat. Wspominam o tym wszystkim, gdyż dziś, po dwudziestu kilku latach, mało który z dziennikarzy pamięta i zdaje sobie sprawę, że niektórych, nawet tak dobrze wprowadzonych jak ja; ni z tego, ni z owego zostawiano, jeśli nie na lodzie, to w każdym razie u wejścia na lód.

Przycisnąłem wreszcie w korytarzu redakcyjnym „Expressu” Rafała Pragę mówiąc, że nie wyjdę, dopóki z miejsca nie załatwi mi obiecwanego etatu. I biedny, dobry Rafał, postawiony w kropce, załatwił mi go od ręki!

Tak więc 28 stycznia 1948 r. Wydział Finansowy Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza”, Daszyńskiego 18, podpisał umowę angażując mnie z dniem 1 lutego 1948 r. na stanowisko kierownika działu kulturalnego Socjalistycznej Agencji Prasowej (SAP) z uposażeniem 20 000 zł miesięcznie, ze zryczałtowanym zwrotem kosztów zawodowych — 7000 zł, dodatkiem za 26 lat pracy — 5200 zł i dodatkiem rodzinnym na żonę — 1000 zł. Razem: 33 200 zł.

W ramach powyższego wynagrodzenia zobowiązany byłem do dostarczenia tzw. obowiązkowej „wierszówki” — materiału dziennikarskiego wartości 7000 zł, przy czym obliczano go według zamieszczonych w biuletynie wierszy druku. Dyspozycyjność moją określono — od Redaktora Naczelnego. Umowę podpisał dr Julian Maliniak, jako wiceprezes Zarządu Głównego „Wiedzy”.

Drugiego lutego 1948 r. otrzymałem legitymację prasową nr 7, zredagowaną w języku polskim i francuskim: „Czermiński Adrian, zamieszkały w Warszawie, jest redaktorem Socjalistycznej Agencji Prasowej”. Podpisy: Redaktor Naczelny R. Praga, Sekretarz J. Laskownicki.

W ślad za nią Spółdzielnia Wydawnicza wydała mi 10 lutego 1948 r. legitymację nr 65 z adnotacją, że jestem zatrudniony w Socjalistycznej Agencji Prasowej na stanowisku kierownika Działu Kulturalnego. Po czym, 23 lutego, otrzymałem jeszcze jedną legitymację prasową SAP, nr 140, której ważność przedłużano trzykrotnie — do 30 czerwca, 30 września i 31 grudnia 1948 r. Legitymacja wydrukowana była tylko w języku polskim.

Okres spędzony w SAP był — poza pracą w tygodniku „Świat i Polska” — najmiłszym w całej mojej powojennej pracy dziennikarskiej. Koleżeńskie stosunki z zespołem SAP i „Expressu” ułożyły się jak najlepiej, nie potrzebowaliśmy się zresztą poznawać, gdyż od połowy 1947 r. stykaliśmy się stale, gdy zbierałem materiały SAP dla „Dziennika” w Krakowie. Postanowiono jednak, że zostaną przyjęty z całym ceremoniałem obowiązującym dla nowo wstępujących do zespołu SAP.

Było to tak zwane „kocowanie”, które polegało na tym, że chcący się „wkupić” do grona koleżeńkiego urządził w redakcji przyjęcie, a im było obfitsze, tym wyżej koledzy podrzucali go na kocu. Oświadczyłem więc, że całą moją pierwszą miesięczną wierszówkę, ponad te obowiązkowe 7000 zł, przeznaczam na „kocowanie”. Można sobie wyobrazić, jak koledzy i koleżanki usilnie się starali, aby moja ponadplanowa wierszówka była jak największa! Kiedy więc przyszło do „kocowania”, podrzucano mnie trzykrotnie aż pod sam sufit tak ochoczo, że omal nie rozbiłem sobie głowy, a uczta trwała do następnego dnia.

Pamiętam, że kiedy odprowadzaliśmy rano na kolej jedną z najmłodszych koleżanek, Sławcię Grabowską, mającą jechać w jakąś delegację;

ani ona sama, ani nikt z nas nie wiedział, dokąd jedzie i do jakiego należy ją wsadzić pociągu. Do dziś pamiętam oddalający się wagon z nieprzytomną twarzyczką w oknie. Ale zdaje się, że wsadziliśmy ją dobrze i że dojechała tam, gdzie należało!

Redaktorem naczelnym SAP był Rafał Praga, o którym krążyło mnóstwo anegdot, jak np., że był tak roztargniony, iż pewnego razu powtarzał sobie w kółko: „Zaraz, zaraz, o czym to ja miałem zapomnieć?” Rafał Praga był lubiany przez wszystkich pracowników SAP, zarówno przez personel redakcyjny, jak administracyjny, przez kolegów i koleżanki, urzędniczki, maszynistki, telegrafistki, teletypistki, woźnych i sprzątaczkę, kierowców i zachodzących do redakcji członków ulicznej orkiestry, znanych mu z czasów okupacji, gdy rozweselali jego serce swoimi piosenkami.

W SAP i w „Expressie” — bo obie redakcje mieściły się w jednym gmachu przy Al. Jerozolimskich — panowały stosunki rodzinne, dalekie od biurokratyzmu w MSZ i oficjalności panującej pomiędzy pracownikami PAP, różnych stopni i stanowisk. Kiedy kończyła się praca, wszyscy ładowaliśmy się do jednego osobowego samochodu, upychając się, jak kto może, a kierowca rozwoził nas w różne strony, uważając to za przyjemność. O rozmaitych koleżeńskich „rybkach”, wypadach i odwiedzinach, imieninach, weselach itp. nie potrzebuję wspominać. SAP i „Express” była to jedna wielka rodzina dziennikarska, podobnie jak „Świat i Polska”, tylko na większą jeszcze skalę, jako że luda było dużo.

Zastępcą Pragi w SAP był Włodzimierz Dzięciołowski, sekretarzem redakcji Janusz Laskownicki, z którym pracowało mi się wybornie. Żądał jednego: abym o dziesiątej rano przyszedł do niego i wtedy zadawał zawsze takie samo pytanie: — „Co pan dzisiaj daje?” Musiałem mieć przygotowany plan pracy mego działu, powiadomić go, kto się czym zajmuje, jaki mam materiał przygotowany i jaki będzie dziś i o której godzinie — bo SAP wydawała dwa serwisy: południowy i wieczorny. Dostarczany mu przeze mnie materiał był przeglądany szybko i bez zbytnich adiustacji powielany. Ma się rozumieć, że przedtem musiałem sam dobrze przygotować i zaadiustować materiały.

SAP była oficjalną agencją PPS, a odbiorcami jej były pisma PPS i „czytelnikowskie”. Serwis krajowy i serwis zagraniczny SAP poruszał sprawy polityki, gospodarcze, oświatowe i kulturalne, zamieszczał artykuły i reportaże, podawał informację, komentarz, sprawozdania — oto czym SAP karmiło swoich odbiorców. Informacje i publikacje zamieszczane w SAP były przeznaczone dla szerokiego kręgu czytelników, to też cechowały je obiektywizm, rzeczowość i zwięzłość.

Publicystyka, reportaże, wiadomości, informacje zapełniały kartki biuletynu SAP bez specjalnego wyodrębnienia na działy. Materiał za-

mieszczany był tak, jak napływał do sekretariatu redakcji, a nie wedle jakiejś hierarchii. Serwis był zbiorem aktualnych wiadomości i potrzebnej w danym momencie publicystyki, a nie rodzajem zaprojektowanego numeru gazetowego ze wszystkimi jego rubrykami. Operatywność SAP zapewniał poza tym jej serwis wieczorny.

Praca w SAP trwała zasadniczo do południa, z tym, że w godzinach wieczornych były redakcyjne dyżury i działały dalekopisy. O tej porze rozsyłała SAP ostatnie, najbardziej pożądane przez prasę informacje i wiadomości, w tym często zagraniczne. Z tych wieczornych dyżurów — kiedy jeszcze przychodziłem do SAP jako klient „Dziennika” — pamiętam drobną postać red. Zabieglńskiego, który potem został kierownikiem biblioteki i archiwum AR — Agencji Robotniczej, powstałej z połączenia się biuletynów SAP i RAP (Robotniczej Agencji Prasowej).

Sprawy sądowe, procesy polityczne itp. prowadził red. Charnicki (podpisujący się jako Feliks Brodzki) razem z Mirosławą Grabowską. F. Brodzki po połączeniu się SAP z RAP-m przeszedł do AR na stanowisko zastępcy redaktora naczelnego, którym został Jerzy Kowalewski, mój dawny kolega z PAP. Jako dziennikarz pracował w SAP Bronisław Troński, nazywany przez nas Casanową; po przejściu do AR-u zdobywał tam z powodzeniem publicystyczne ostrogi. Aleksander Rowiński, pracujący w dziale kulturalnym SAP, po przejściu do AR został moim kierownikiem, mnie zaś dla osłodzenia, zostawiono stanowisko kierownika działu graficznego, będącego kontynuacją serwisu graficznego SAP.

Czym był ów serwis graficzny SAP?

Nie pamiętam już, w którym miesiącu, czy to było na wiosnę 1948 r., czy później, Rafał Praga zaproponował mi dodatkowe objęcie kierownictwa nowo organizowanego przez niego serwisu graficznego, zajmującego się sporządzaniem wykresów i map dla potrzeb prasy. Organizacją i kierownictwem tego serwisu miałem się zajmować niezależnie od kierowania działem kulturalnym SAP, ma się rozumieć za osobnym wynagrodzeniem, co wywołało nawet u jednego z kolegów niezadowolone, że tyle zarabiam. Sekretarką Serwisu Graficznego została Irena Niziałkowska, a mapy i wykresy wykonywali graficy płatni od dzieła. Po połączeniu się SAP z RAP-em, serwis graficzny został do AR-u włączony i przez pewien czas byłem jego kierownikiem, zanim nie zająłem się wyłącznie publicystyką kulturalną.

Nie pamiętam już, kim byli odbiorcy serwisu graficznego, wiem tylko, że jednym z odbiorców była, jak sobie przypominam, Zachodnia Agencja Prasowa czy jakiś jej dział mieszczący się na Kredytowej 9 m. 3, który prowadził Juliusz Strojnowski. Biuletyn ten, podający tłumaczenia z prasy zagranicznej oraz drobne materiały gospodarcze, społeczne i wyznaniowe, różne „michalki” itp., zaopatrzone był wykresami

i mapami. Przynosił też zagraniczne reportaże sensacyjne, pisane przez naszych dziennikarzy na podstawie pism zagranicznych, jako że z wyjazdami zagranicznymi nie było wtedy tak łatwo. Pisaliśmy pod obcymi pseudonimami. Pamiętam, że biuletyn dawał znakomite, tchnące żywym autentyzmem reportaże z frontu w Vietnamie. Ja pisałem jako Michel le Petit — zachował się jeszcze w moim archiwum cykl pięciu artykułów, pisanych w związku z epidemią cholery, która wybuchła w Egipcie: *Lecimy na spotkanie cholery* (z Orly!), *Epidemii siódma fala*, *Za kordonem sanitarnym*, *Nad zagrożoną deltą* i *Oko w oko z cholera*. Do reportaży tych dołączone były mapki Serwisu Graficznego SAP. Cena mapki wynosiła 1500 zł. Tekst reportażu nie przekraczał dwóch i pół stron maszynopisu.

W zespole SAP nie brakowało też malowniczych postaci. Jedną z takich był red. Mosiewicz, który lubił stroić się w piórka redaktora do spraw dyplomatycznych. Niczym nie wyróżniający się z wyglądu, miał za to godny podziwu tupet i łatwość załatwiania różnego rodzaju spraw, które nie udawały się innym. Kiedy trzeba było coś załatwić, siadał przy biurku, nakręcał numer telefonu należącego do odpowiedniej instytucji i po połączeniu z dyrektorem, kierownikiem czy jeszcze lepiej tylko z referentem odzywał się: „Tu Mosiewicz... (odpowiednia pauza dla wywołania efektu). Proszę załatwić mi natychmiast...”, po czym odkładał słuchawkę. Po drugiej stronie drutu następowała konsternacja. Nikt nie śmiał pytać, kto to jest ten Mosiewicz, zapewne jakaś ważna figura i czym prędzej załatwiano to, czego żądał — tak jest, żądał, a nie prosił!

Niezwykle miły był zespół techniczny SAP, z Marią Weber tzw. „mamą” na czele, opiekującą się ekspedycją biuletynów i archiwum redakcyjnym, które prowadziła następnie w AR. Piękna jej córeczka zawracała w głowie wszystkim pracownikom redakcji i odrzuciwszy innych konkurentów wyszła w końcu za Adama Bahdaja, redaktora SAP, który potem dziennikarstwo porzucił dla literatury. O ile pamiętam wraz z Bahdajem pracował też w SAP Ryszard Wojna i Tadeusz Rubach, przeżyli kolega i uzdolniony publicysta, który z czasem przeszedł do dyplomacji. Z innych kolegów pamiętam Jadwigę Krawczyńską i red. Bronisława Winnickiego, pracujących w serwisie zagranicznym SAP.

Kierownikiem biura maszyn była Zosia Michna. Powielarnię miał pod swą opieką Jaworski, cichy, skromny człowiek, którym i nadal pozostał, trwając później w AR na swoim stanowisku.

Praca moja jako kierownika działu kulturalnego SAP polegała na inspirowaniu kolegów tematami, na wysyłaniu ich na różne imprezy i na zbieraniu bieżących wiadomości, na omawianiu zadań dnia codziennego rano z działem, na adiustowaniu i oddawaniu materiałów Laskownickiemu. Dla wyrobienia obowiązującej własnej wierszówki zajmowałem

się takimi sprawami, jak np. przyznaniem nagrody literackiej m.st. Warszawy Brandysowi 17 lutego 1948 r., o czym dałem notatkę i przeprowadziłem z nim krótką rozmowę. Zająłem się też konkursem ZPAP na opracowanie godła państwowego — Orła. Ponieważ historia tego konkursu poszła w zapomnienie, a sprawa Orła jako godła państwowego ma doniosłe znaczenie, ponadto niektóre zawarte w konkursie sformułowania są bardzo charakterystyczne dla owego okresu, pozwałam sobie przytoczyć z niewielkimi skrótami mój reportaż z wystawy Orłów.

Na zlecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki, w porozumieniu z Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwem Oświaty, został rozpisany przez Związek Polskich Artystów Plastyków konkurs na zmianę kształtu Orła jako godła państwowego, odpowiadającego nowym warunkom.

Godło polskie, zatwierdzone rozporządzeniem Prezydenta z 1927 r., przedstawiało Orła Jagiellońskiego, o kształtach renesansowo-barokowych z koroną. Zmienione po wojnie warunki polityczne i geograficzne naszego państwa wymagały również zmian jego herbu. Orzeł Polski miał teraz symbolizować nasz powrót na Ziemię Piastowskie. Pierwotny tego Orła, według warunków konkursowych, miał opierać się na materiałach opracowanych przez komisję heraldyczną.

Na konkurs nadesłano 110 prac z całej Polski. Każda praca została wykonana w trzech egzemplarzach: rozwiązanie na cynobrowej tarczy, rozwiązanie graficzne pieczętki w kole (ze zmniejszoną fotografią) i rozwiązanie rzeźbiarskie w odlewie gipsowym. Warunki te miały na celu zapewnić jak najwszechstronniejsze zastosowanie wybranego godła, od sztandaru państwowego aż po monety, pieczętki i znaczki pocztowe.

Z nadesłanych prac podpisywanych godłem, 34 prace nie odpowiadały warunkom formalnym konkursu. Największe zainteresowanie konkursem wykazały Warszawa i Kraków.

24 stycznia 1948 r. odbyło się pierwsze zebranie konstytucyjne sądu konkursowego, a 4 lutego zebranie, na którym dokonano pierwszej i drugiej eliminacji.

Jury składało się z delegata Prezydium Rady Ministrów dra Stanisława Płoskiego, znanego historyka, z dyrektora Departamentu Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki Bohdana Urbanowicza, z przedstawiciela Ministerstwa Oświaty dra Antoniego Rybarskiego, historyka, który miał m.in. opracować historię rozwoju Orła Polskiego, oraz z delegatów Zarządu Głównego ZRAP — prezesa Michała Borucińskiego, rektora ASP Franciszka Strynkiewicza i prof. Tadeusza Gronowskiego. Sekretarzem konkursu był przewodniczący Sekcji Graficznej ZPAP Józef Czerwiński.

W ostatecznym wyniku sąd konkursowy postanowił pierwszej nagrody w wysokości 400 tys. złotych nie przyznać nikomu, lecz sumę rozdzielić na dwie równorzędne drugie i jedną trzecią nagrodę.

W wyniku czwartej, ostatecznej eliminacji, wybrano do przyznania nagród trzy prace, wybijające się kompozycją, dobrym opracowaniem graficznym i rzeźbiarskim. Były to prace „B 2” Michała Byliny i Firmina Baedte z Warszawy, „Ziemowit” Kazimierza Knothe z Katowic, obie nagrodzone po 300 tys. zł, oraz „Swaróg” zespołu: Zygmunt Kamiński, Edmund John i Franciszek Habdas, nagrodzony kwotą 200 tys. zł. Pracę nadesłaną pod godłem „Gniezno” T. Stulgińskiego, Witolda Chomicza i Wiesława Zarzyckiego z Krakowa postanowiono wyróżnić do zakupu kwotą 100 tys. zł za specjalnie dobre wypracowanie pieczęci.

Orzeł Michała Byliny, malarza batalisty, był stylizowany, posiadał głowę spłaszczoną z wysuniętym językiem, skrzydła ozdobione girlandą, tzw. pasem śląskim. Można powiedzieć, że nosił wszelkie cechy godła państwowego, jakkolwiek odbiegał od koncepcji orła piastowskiego. Orzeł ten posiadał dobrą sylwetkę i monumentalność w wyrazie.

Orzeł Knothego przedstawiał typ orła piastowskiego bez korony z głową uniesioną dynamicznie do góry. Praca ta miała dobre rozmieszczenie na tarczy, duże walory artystyczne i wierność heraldyczną.

Orzeł grupy Kamińskiego przedstawiał typ orła kazimierzowskiego; praca ta została nagrodzona za bardzo dobre opracowanie szczegółów i walory techniczne. Przed wojną Kamiński opracował kartony dla banknotów Banku Polskiego oraz był autorem wzoru Orła państwowego.

Poza tymi czterema nagrodami nagrodzono po 40 tys. zł dziewięć prac artystów ZPAP z Krakowa i z Warszawy.

„W sali o ścianach obwieszonych Orłami — pisałem — Czerwiński kończy ostatnie czynności sekretarskie. Z czerwonych tarcz spogląda przeszło 100 głów orlich, białe odlewy gipsowe omiatają podłogę piórami. Czerwiński nadmienia, że oprócz ścisłego grona jury odbyło się jeszcze posiedzenie ogólne, z udziałem czynnika polityczno-społecznego i fachowego, w którym — poza delegatami plastyków, heraldyków i historyków, w osobach dra Przypkowskiego i Geysztora — uczestniczyli delegaci Ministerstwa Obrony Narodowej, Mennicy Państwowej, partii politycznych i związków zawodowych.

Ekspozyty, przygotowane już do wystawy, mają obejrzeć jeszcze członkowie Rządu, po czym zostanie udostępniona dla publiczności 26 lutego.

Ze ścian ciasnych sal wystawowych spogląda 330 głów orlich. Skrzydła zdają się szumieć w powietrzu. Mocne szpony wbiły się w czerwone tarcze. Najdumniej, z wysoko podniesioną głową, spoglądają orły Byliny i Knothe, pretendujące do godła państwowego”.

Dobre to były czasy, kiedy dziennikarz, jeszcze przed obejrzeniem Orła przez członków rządu, dowiadywał się tajemnic konkursowych i podawał je do wiadomości przed otwarciem wystawy!

Tak wyglądała moja praca w SAP, gdzie jako reporter rezerwowałem sobie interesujące mnie problemy i zagadnienia, jak np. ów sąd konkursowy na opracowanie Orla. Chodziłem też na konferencje z zakresu polityki i gospodarki, dając z nich sprawozdania. Wyjeżdżałem na terenowe reportaże, jak np. do Brzezin niedaleko Łodzi, w którym to powiecie, ogromnie zniszczonym przez wojnę, gromady i gminy stały do rolniczego współzawodnictwa.

Sejmem w SAP zajmował się kto inny, ja natomiast obsługiwałem Sejm dla „Robotnika” na podstawie diariusza sejmowego. Sprawozdania z posiedzeń plenarnych Sejmu, z dyskusji toczonych na komisjach oraz streszczenia mów poselskich, ukazywały się w moich opracowaniach, których nie sygnowałem. Nieraz zajmowały one całą kolumnę, jak np. w zachowanym przeze mnie egzemplarzu „Robotnika” z 27 czerwca 1948 r.

W tym okresie zostałem wybrany do Zarządu Klubu Sprawozdawców Parlamentarnych, którego członkiem byłem jeszcze przez rok następny.

W czerwcu 1948 r. złożyłem podanie o przyjęcie do Związku Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS — tak się wtedy nazywał — nie pamiętam już dla jakich powodów, zapewne dla ściągania przez ZAIKS moich należności za zamieszczane w prasie artykuły. Zostałem przyjęty z dniem 30 czerwca 1948 na członka zwyczajnego ZAIKS zaliczeniem do sekcji M publicystycznej i z zatwierdzeniem pseudonimów AC i ACZ używanych przy sygnowaniu moich artykułów. Zawiadomiono mnie równocześnie, że kwota 500 zł z tytułu wpisowego będzie mi potrącana sukcesywnie w miarę wpływów moich w ZAIKS. Za legitymację wpłaciłem osobno 50 zł, o składkach członkowskich nie było mowy.

W „EXPRESSIE”

W maju 1948 r. rozpoczęła się moja współpraca z „Expressem Wieczornym”. Inicjatorem był jak zawsze wszechstronny i pomysłowy Rafał Praga, który potrafił nie tylko zainspirować dziennikarzy, ale i sam chwycić za pióro.

„Słuchajcie — powiedział do Karoliny Beylin, Mieczysława Krzepkowskiego i do mnie — jest setna rocznica Wiosny Ludów, trzeba dać coś bombowego!”

Zabraliśmy się do roboty i w myśl wskazań Rafała zaprojektowaliśmy specjalny numer „Expressu Wieczornego” poświęcony tej rocznicy. Numer ten stał się zaczątkiem wielu późniejszych tego rodzaju specjalnych suplementów „Expressu Wieczornego”, które przez wiele lat, aż

do 1963 r., projektowaliśmy i redagowaliśmy w tym samym składzie naszego trójosobowego zespołu. Te suplementy odziedziczyły po nas inne osoby w „Expressie”, a wzorem naszych suplementów „Expressu” zaczęły powstawać w innych pismach suplementy i specjalne numery okolicznościowe i rocznicowe. Ja zaprojektowałem w Agencji Robotniczej dwa jubileuszowe tego typu suplementy — *Goniec Grunwaldzki* na 550-lecie zwycięstwa Jagiełły nad Krzyżakami i *Wieści Chełmskie* na 25-lecie PKWN. W „Prasie Polskiej” ukazała się w lipcu 1956 r. notatka pt. *Ciekawa, niedostrzeżona inicjatywa* o suplementach redagowanych przez nasz trzyosobowy zespół.

Otóż ten pierwszy suplement, nie noszący jeszcze tego nagłówka, miał tytuł „Specjalne wydanie w 100 rocznicę »Wiosny Ludów« Express Wieczorny 1848 — Warszawa — 1948”.

W normalnym numerze „Expressu”, do którego był dołączony ten czterokolumnowy dodatek, Rafał Praga zamieścił wstępny artykuł *Tak było przed stu laty*, dając w nim historyczny obraz owych wydarzeń z następującym nawiązaniem do współczesności: „»Wiosna Ludów« otworzyła nowy okres w dziejach walki o postęp, którego nosicielem stały się masy pracujące, święcące dziś w wielkiej części świata swoje historyczne zwycięstwo”. To specjalne wydanie „Expressu” w 100 rocznicę Wiosny Ludów ukazało się w niedzielę, 30 maja 1948 r.

Chodzi o to — mówił Praga — aby czytelnikowi ukazać w jak największym, błyskawicznym niejako zbliżeniu i w jak najżywszej formie wydarzenia i problematykę tamtych czasów. Trzeba czytelnika wprowadzić w atmosferę owych gorących dni i miesięcy sprzed stu laty i ukazać mu jak najżywiej ich dynamikę. Podacie więc opis zdarzeń z 1948 roku tak, jak robimy to dziś w »Expressie«, i jak w stylu »Expressowym« informujemy czytelników o aktualnych zdarzeniach, komentując ich problematykę.

Zabraliśmy się więc z wielkim zapałem do tej roboty, głosząc wielkimi literami: *Lud paryski woła: Niech żyje reforma. Król po abdykacji uciekł do Anglii. Rewolucjoniści spalili tron w Tuilleries. Burżuazja zdradziła powstanie. Sztandar walki przejęli robotnicy. Pretendent do tronu Ludwik Bonaparte — prezydentem.*

Dalej donosiliśmy, że „Lud włoski podjął walkę o wolność i zjednoczenie”, że „chłop wielkopolski walczy, a wojska pruskie masakrują rannych powstańców w Książu”, że po silnym bombardowaniu Kraków skapitulował a Sukiennice płoną, opisywaliśmy, jak wyglądał pierwszy tydzień wolności w Poznaniu, informowaliśmy, że zagrzebski sejm żąda utworzenia państwa jugosłowiańskiego. Pierwszą kolumnę zdobił portret Karola Marksa, a pod nim opis: „jak wygląda Karol Marks”, a dalej było zdjęcie strony tytułowej „Manifestu Komunistycznego”.

Wśród sensacyjnych doniesień ukazał się wywiad z Garibaldim napisany przeze mnie:

„Na wiadomość, że słynny rewolucjonista włoski Giuseppe Garibaldi wyruszył z Montevideo do Europy, aby wziąć udział w walkach o wyzwolenie swojej ojczyzny, wysłannik »Expressu Wieczornego« wyruszył do Genui specjalnym dylżanssem, aby uzyskać kilkuminutową rozmowę ze sławnym kondotierem i wypróbowanym przyjacielem Polski...”

W dalszym ciągu mego wywiadu podawałem, jak spotkałem się na pokładzie okrętu w Genui z Garibaldim, jak wygląda i co mówi o swej młodości oraz o swoim udziale w walce Urugwaju przeciwko Argentynie. Przedstawiłem Hiszpankę Anitę, jego żonę i dwóch ich synów — Menottiego i Ximenesa, którzy pytali Garibaldiego: „Papa! Kiedy pojedziemy na wojnę?” — Kończąc wywiad zapytałem Garibaldiego o jego zamiary na przyszłość.

„Pod koniec życia zamierzam jeszcze wziąć udział w wojnie francusko-włoskiej. Do was, do Polski, niestety nie będę mógł przybyć, kiedy urządacie powstanie, ale przyślę tam pułkownika Nullo — tego oto, który stoi przy maszynie...” Zakończyłem anachronicznym nieco chwytem, dorzucając: „[...] Nullo przybędzie do Polski, będzie walczył o jej wolność i zginie [...]” Intencji moich jednak nie zrozumiano i redakcja usunęła mi ostatnie słowa wywiadu.

Z innych sensacji podaliśmy — opartą na autentycznych faktach — wiadomość o „niezwykłym zniknięciu gen. Bema, który w trumnie, wśród przebranych żołnierzy, opuścił Wiedeń złany krwią”. Rubryka „Niedyskrecje” dała wiadomość o audjencji udzielonej Mickiewiczowi przez papieża Piusa IX, zamieściliśmy nekrolog Sandora Petöfi i wspomnienie o nim pod tytułem *Szablą i piórem*, opis zebrania cyganerii paryskiej, wypowiedź George Sand o przeciwnikach rewolucji, reprodukcję karykatury króla Ludwika i ministra Guizota oraz inną karykaturę z 1848 r. — *Królowie na falach potopu*, szereg drobnych informacji, ogłoszeń itp., które Karolina Beylin wygrzebała z ówczesnej prasy warszawskiej. Graficzny układ numeru opracował Mieczysław Krzepakowski, wspomagając swym piórem wiele rubryk tego specjalnego wydania „Expressu”.

Zapoczątkowana tym numerem moja współpraca z „Expressem Wieczornym” przetrwała jeszcze wiele lat, podczas których zamieszczałem w tym piśmie różnego rodzaju suplementy, artykuły oraz reportaże krajowe i zagraniczne.

Jednym z nich był cykl „Na partyzanckim szlaku” o garstce bohaterów, którzy walczyli z potęgą okupanta w lasach lubelskich na Porytowych Wzgórzach. W celu dokładnego przestudiowania historii tej dwu-

tygodniowej bitwy Wojskowe Biuro Historyczne wspólnie ze Związkiem Zawodowym Dziennikarzy RP urządziło w czerwcu 1948 r. wycieczkę prasową na teren lasów janowskich. Na miejscu pamiętnej bitwy, która rozegrała się nad rzeką Branew i na Wzgórzach Porytowych, uczestnicy i uczestniczki tych pamiętnych walk przypomnieli historyczne już wtedy, a mało komu znane szczegóły tego boju, którego teren po czterech latach tak się zmienił, że topografii tego miejsca nie mogli poznać nawet ci, którzy tam wówczas walczyli.

„Wielki bój partyzancki na Porytowych Wzgórzach doczekał się swojej legendy, może nie tak wspaniałej jak bitwy pod Troją czy Stalingradem — pisałem — ale zawsze żywej i zajmującej, tym więcej, że tworzonej jeszcze teraz, na oczach własnych, przez uczestników tej walki.

Oglądamy wspaniałą jodłę podziurawioną jak sito kulami i odłamkami pocisków. Partyzanci przypominają sobie, jak siekli po niej Niemcy. Jeden z uczestników tej walki obstaje przy tym, że jodła ta stanowiła cel dla wypróbowania broni. Spór rozstrzyga leśniczy, który oświadcza krótko:

— To dzięcioł pokuł to drzewo, a pociski i kule — to tam właśnie, w tej sośnie! — i wskazuje na nieefektywne drzewo wyrastające w pobliżu.

Koniec legendy” — zanotowałem.

Relację uczestników tej epopei bohaterskich partyzantów zakończyłem następującym zdaniem: „Idą wraz z nami, aby dać prawdę legendzie. Ubrać w cyfry i znaki mit, który zaczyna rozbrzmiewać już po Polsce: o żołnierzu-partyzancie, dziewczynie, która go pożegnała, i o tym, »że w partyzantce nie jest źle«.

Wśród janowskich lasów odzywają dawne wspomnienia... Dojeżdżamy do małej, pokrytej gęstą trawą polany. Na niewysokim wzgórzu prosta brzoza bariere otaczająca mogiłę. Na niej taki sam krzyż z nad wyraz wymownym napisem:

»S.H.P. Nieznany Partyzant Polski, zginął w walce z Niemcami w r. 1944. Zginął za wolność Ojczyzny. Pokój jego duszy«. Pod krzyżem zwyczajny pęk łubinu, rozpościerający swoje kwiaty jak błękit na żółtym piasku.

To tu właśnie powinien stanąć pomnik Nieznanego Partyzanta Polskiego. Na polu bitwy, w miejscu, gdzie życiem swoim dał świadectwo sprawie” — pisałem.

Inny mój reportaż, na który wyruszyłem wraz z Krystyną Dąbrowską pod patronatem Kazimierza Rusinka, prowadził śladem niszczycielskiego żywiołu powodzi, która w lipcu 1948 r. nawiedziła ziemię sądecką, a tamtejszy „starosta, Jan Antoniszczak, dokonał prawdziwych cu-

dów w walce ze szturmującymi wodami” — jak głosił nagłówek pierwszego reportażu. Relacją z przebiegu powodzi i akcji ratowniczej oraz opisem aktualnego stanu pól i wsi po ustąpieniu wody zakończyłem te reportaże.

Prawdziwym jednak wyczynem reportażowym był mój kilkutygodniowy rajd wzdłuż całej granicy polsko-czechosłowackiej od Krynicy po Szklarską Porębę. Na reportaż ten zostałem delegowany w lipcu 1948 r. przez SAP, a „Express Wieczorny” drukował nadsyłane przeze mnie z drogi poszczególne fragmenty tego cyklu. Pomysł tych reportaży wyszedł naturalnie od nieocenionego Rafała Pragi.

NA WIELKIM REPORTAŻU

Był to okres, w którym stosunki polsko-czeskie weszły w nową fazę. Po obaleniu w lutym 1948 r. rządu Benesa, w czerwcu nastąpiło połączenie partii socjaldemokratycznej z partią komunistyczną w Komunistyczną Partię Czechosłowacji. Zwycięstwo czechosłowackich sił postępowych stworzyło nowe warunki nie tylko do przeprowadzenia szeregu reform wewnętrznych, ale również do ułożenia na nowej płaszczyźnie dobrosąsiedzkich stosunków z Polską.

Rafał Praga wymyślił więc ten reportaż z pogranicza obu państw, ale, jak to było w jego zwyczaju, sam nie ruszył palcem, aby doprowadzić swój zamysł do skutku. Poleciał więc tylko wypisać mi delegację z datą 1 lipca 1948 r. tej treści: „Socjalistyczna Agencja Prasowa deleguje red. Czermińskiego Adriana do Krakowa, Zakopanego, Gliwic, Cieszyna, Kłodzka i Lubania, celem zrobienia reportaży”. Delegację w zastępstwie Redaktora Naczelnego podpisał Włodzimierz Dzieciołowski, zastępca Pragi.

Następnie polecił mi zgłosić się osobiście u pewnego pułkownika w Ministerstwie Obrony Narodowej, wyjaśnić mu sprawę zrobienia nadgranicznych reportaży i uzyskać potrzebną w tym celu przepustkę do przebywania i zbierania wiadomości w pasie nadgranicznym.

Ma się rozumieć przepustki takiej mi nie wydano, ale bardzo uprzejmie zanotowano wszystko wraz z telefonem redakcyjnym, po czym poszedłem przekonany, że nic z tego nie wyjdzie.

Aż tu niespodziewanie po kilku dniach redakcja otrzymała telefon, żebym się stawił w MON. Czy był to traf, czy też Praga zadziałał jakimiś sobie tylko wiadomymi sposobami, nigdy się nie dowiedziałem. Dość, że kiedy zjawiłem się w MON, komendant jakiegoś tam wydziału przyjął mnie bardzo serdecznie i powiedział, bym jechał do Krakowa i zgłosił się w tamtejszym dowództwie Ochrony Pogranicza, gdzie otrzy-

mam dalsze instrukcje. „A przepustka, panie pułkowniku, czy jakiś inny papierek?” — zapytałem.

„Nie potrzeba! Nadamy telefonogram”.

Pełen najgorszych przeczuć, że zostałem wykiwany, pojechałem do Krakowa i zgłosiłem się w odpowiedniej komendzie. Ma się rozumieć, nie wiedzieli o niczym, lecz kiedy już wychodziłem, stanął w drzwiach któryś z podwładnych pułkownika i słysząc koniec naszej rozmowy powiedział, że przyszedł telefonogram z Warszawy i że wie, o co chodzi. Natychmiast sytuacja wyjaśniła się i wydano mi w dniu 5 lipca 1948 r. następujący dokument: „Zaświadczenie. Niniejszym zezwalam ob. Czermińskiemu Andrianowi [Andrian przez „n”], współpracownikowi Socjalistycznej Agencji Prasowej, na zbieranie wiadomości w strefie nadgranicznej powiatu Nowy Sącz z dziedziny życia ludności pogranicza i współpracy z organami Ochrony Pogranicza. Dowódca S.B.O.P. Nr 49 udzieli mu pomocy. Ważne od dnia 5 VII do dnia 10 VII 1948”. Pieczętka i podpis: Dowódca 19 Brygady O.P. Horabik mjr oraz własnoręczny jego dopisek czerwonym ołówkiem „Dca Baonu samochodem obwiezie po pograniczu”.

Czym prędzej więc wsiałem w pociąg i pojechałem do Nowego Sącza, aby zameldować się w tamtejszym dowództwie Ochrony Pogranicza. Wsiadając z pociągu zauważyłem dwóch wojskowych spacerujących po peronie, którzy podeszli do mnie i upewniwszy się co do mojej tożsamości, wzięli między siebie i jak jeńca zaprowadzili bez słowa do stojącego przed dworcem konnego ekwipażu. Milczałem, czekając, co będzie dalej i nie pytałem o żadne wyjaśnienia.

Kiedy zajechaliśmy przed budynek dowództwa wyszedł komendant i odebrawszy mnie z wielkimi honorami wprowadził do środka przedstawiając kolegom i zapraszając do już przygotowanego stołu. Okazuje się, że telefonogram Kraków—Nowy Sącz zadziałał piorunująco i że już wszystko przygotowano tu na moje przybycie.

Po suto zakropionej kolacji i zasłużonym wypoczynku w gościnnym pokoju dowództwa wybrałem się następnego dnia wraz z dowódcą odcinka na pograniczny reportaż. Jechaliśmy wojskowym willisem — świetną maszyną terenową, którą poznałem już podczas mego rajdowego reportażu w 1947 r. Nad brzegami Dunajca rozlokowali się harcerze i Służba Polsce. Kiedy pojechaliśmy do strażnicy WOP, załoga została wywołana pod broń. Następnie odbyła się odprawa i pogadanka na temat współpracy polsko-czechosłowackiej i ostatnich układów gospodarczych między obu państwami.

„Odkąd pojawiły się na rynku legalne buty czeskie, mamy coraz mniej kłopotu z przemytem — powiedział kapitan. — A pamiętacie, jak to było dawniej?”

Zaczął się opowiadanie o wyłapywaniu przemytników.

„Często przechodziecie na stronę czechosłowacką?” — zapytałem.

„Nam nie wolno, bo to naruszenie granicy. Ale cywile to mogą i nieraz za przepustką odwiedzają tam swoich krewnych”.

„Czasem i bez przepustki przechodzi ktoś granicę legalnie — mówi komendant strażnicy por. K. — Było tak kilkakrotnie z naszym doktorem...”

Dowiaduję się, że ludność słowacka zamieszkała po drugiej stronie Dunajca, w Mniszku, ma bardzo daleko do swojego lekarza. Nieraz zachodzi jakiś bardzo nagły wypadek i wówczas rejonowy lekarz w Piwnicznej, dr Rzeszotek, udziela im pomocy spiesząc na swoim motocyklu, łąkami na przełaj, na drugą stronę rzeki. Opowiadają, jak pewnego razu popędził, aby ratować chore słowackie dziecko. Powracającego żołnierza Ochrony Pogranicza zapytał tylko o jedno:

„Czy dziecko będzie zdrowe?”

Tak wyglądał mój pierwszy reportaż z tego wielkiego pogranicznego cyklu, zamieszczony 10 lipca 1948 r. w „Expressie”. Zakończyłem go słowami: „Tak wygląda obecnie życie na pograniczu. Zmieniły się czasy, zacieśniły wzajemne stosunki między ludźmi, którzy od dawna tego chcieli”.

Drugi reportaż opowiadał o akcji ratowniczej polskiej straży pożarnej w Muszynie, która pospieszyła na pomoc słowackiej osadzie Zawodzie, ogarniętej w nocy pożarem; pożar spostrzegł polski wopista i zaalarmował ludzi po jednej i po drugiej stronie granicy. Reportaż mówił o wprowadzeniu w życie nowej konwencji polsko-czechosłowackiej na całym szlaku granicznym, od Cisny do Zakopanego, o konwencji umożliwiającej ludności obu krajów przekraczanie granicy w sprawach rodzinnych i gospodarczych (pastwiska po jednej i drugiej stronie) bez zbędnej formalistyki.

Rankiem, kiedy miałem odjeżdżać, dowódca zwołał całą załogę, a ja, biedny cywil u jego boku, ku zdumieniu żołnierzy musiałem przyjmować defiladę.

„No, pokazał wam cały stan bojowy naszego pogranicza na tym odcinku!” — powiedział major Horabik, kiedy dawałem mu do przejrzania moje korespondencje dla SAP, które miałem nadać zaraz dalekopisem. „Ale mam nadzieję, że nie zrobicie z tego użytku!”.

Ma się rozumieć, że historii z defiladą nie umieściłem w reportażu.

W następnym reportażu, *Granica na szczytach gór*, podałem wiadomość o projektowanej budowie kolejki linowej na Kasprowy po słowackiej stronie Tatr i poruszyłem potrzebę zawarcia takiej umowy turystycznej, która by umożliwiła członkom polskich i czechosłowackich

towarzystw turystycznych korzystanie z urzędzeń i uroków tatrzańskich po obu stronach granicy.

Drugie, analogiczne do pierwszego zaświadczenie na przebywanie i zbieranie wiadomości w strefie nadgranicznej Śląska Cieszyńskiego, otrzymałem w Gliwicach. W jednym z reportaży opisałem ruch na moście przerzuconym przez Olzę. Mostem tym przechodzili głównie polscy robotnicy, mieszkający po czeskiej stronie Cieszyna, śpieszący do pracy w naszych fabrykach i warsztatach, oraz młodzież polska z czeskiego Cieszyna, ucząca się w szkołach po naszej stronie Olzy.

„Graniczna rzeka nie utrudnia randek. Po obu brzegach Olzy stoją ławeczki. Jakiś młodzieniec po czeskiej stronie zdejmuje kapelusz pozdrawiając panienkę, która pojawiła się na polskim brzegu. Rozmawiają na migi, jak gdyby chcieli umówić się. Dziewczyna pokazuje ręką za siebie. Młodzieniec podbiega do budki strażnika, przechodzi jedną kontrolę celną i drugą, widocznie ma stałą przepustkę, i za pięć minut oboje siedzą już w cukierni, zając polskie ciastka.

„U nas takich nie ma! — słyszę rozmowę — ale do kina to pójdziemy po tamtej stronie?”

„Dobrze! — mówi dziewczyna — jeszcze po jednym kawałku tortu i idziemy do ciebie!”

Tak przedstawiały się wtedy gospodarcze, kulturalne i sercowe stosunki na tym pograniczu, a dziennikarze pisali o nich obszernie, nie tylko zaś o srogich celnikach i o uprawiających przemyt uczestnikach wycieczek orbisowskich.

Graniczny szlaban w Chałupkach miał całkiem inny charakter. „Udaję się na punkt przejściowy — most na Odrze. Mijam trójkątną wieżę, postawioną przez Niemców ku upamiętnieniu, że w tym miejscu stykały się przed wojną trzy granice: polska, czeska i niemiecka. Zmrok zapada. Słyszę, jak mówią: »Zaraz będzie jechała nocna zmiana na fabrykę w Bohuminie«.

W alei wysadzonej lipami zapalają się drobne ogniki. Coraz więcej, coraz jaśniej, jak gdyby sznur świętojańskich robaczków unosił się w powietrzu. Bezszelestnie zbliżają się do mostu. Czarne cienie robotników, jadących na rowerach, wylaniają się tuż przy budce strażnika. Każdy zwalnia i wykrzykuje numer. Żołnierz notuje i przepuszcza przez most. Naliczyłem 93 robotników udających się z czeskich Antoszowic i Szularzowic do czeskiego Bohumia przez dwa kilometry polskiej drogi. Odcinek ten oszczędza im 5 kilometrów niewygodnego górskiego terenu po tamtej stronie granicy. Jeżdżą tak tutaj codziennie na dwie zmiany, dzienną o 5 rano i nocną o pół do jedenastej wieczorem. Formalności celne nie trwają długo. „Bohumin jest blisko mimo granicz-

nych szlabanów” — te ostatnie słowa z mojego reportażu wybito jako tytuł tłustymi literami.

Zaświadczenie na zbieranie wiadomości w strefie nadgranicznej Sudetów i Karkonoszy, obwiezienie po granicy samochodem podpisał ppłk Mickiewicz. Reportaże z Ziemi Kłodzkiej nie były jednak ani tak zajmujące, ani tak barwne, jak z objechanego poprzednio pogranicza. W reportażu *Wściekłe lisy nie są już groźne* pisałem o polsko-czechosłowackiej akcji mającej na celu ochronę zdrowia i życia pogranicznej ludności, zagrożonej przez grasujące w tamtych lasach wściekłe lisy, które pokąsały kilkoro dzieci. Dzięki obławie na „rude kity”, zorganizowanej po obu stronach granicy, zlikwidowano groźne zwierzęta.

W dalszym ciągu reportażu pisałem o 50 czeskich dzieciach na kolonii letniej w Karłowie koło Kudowy, przybyłych do Polski drogą wymiany z dziećmi polskimi wysłanymi do Czechosłowacji. Rozbrzmiewające na kolonii *Hde domov moj i Góralu, czy ci nie żal* miały cementować wzajemne poznanie się dzieci sąsiadujących ze sobą gospodarstw i domów, przez których podwórze przebiegała nieraz granica, jak np. w Kudowie.

Ostatni mój reportaż z tego pogranicznego rajdu dotyczył przejścia granicznego w Zebrzydowicach na odwiecznym szlaku Bramy Morawskiej, przekraczanym teraz przez pięć milionów osób rocznie i przez 2000 pociągów miesięcznie.

W OBRONIE KULTURY I POKOJU

Obrady rozpoczęto punktualnie. Była dziewiąta czterdzieści pięć. Środa 25 sierpnia 1948 roku. Aula Politechniki Wrocławskiej. Przed gmachem obrad olbrzymi globus — symbol wspólnoty myślowej intelektualistów całego świata, broniących kultury i pokoju.

Na sali, za stołami ustawionymi w sześć rzędów, zasiedli uczeni, pisarze i artyści z Europy, Ameryki, Azji i Afryki, aby dać wyraz swojej wierze w jedność ludzkiej kultury. Na trybunę, przybraną flagami czterdziestu sześciu krajów biorących udział w „Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju”, wszedł Jarosław Iwaszkiewicz i otworzył obrady, po czym brazylijski pianista S. Estrella odegrał *Appassionatę* Beethovena i *Etiudę Rewolucyjną* Chopina. Następnie prezes francuskiego Związku Literatów Maurice Bedel w imieniu Komitetu Organizacyjnego Kongresu odczytał regulamin jego obrad.

Za stołem prezydiálním widoczna jest otoczona aureolą siwych włosów głowa Martina Andersena Nexö. Obok szczupła sylwetka Ireny Joliot-Curie. Dalej zwalisty Julian Huxley, Aleksander Fadiejew i włoski malarz Renato Guttuso, autor cyklu rysunków przedstawiających

okrucieństwa ostatniej wojny. Powszechną uwagę zwraca Picasso w podniszczonym, roboczym ubraniu, jak gdyby dopiero co odszedł od sztalug, i elegancki Ilia Erenburg, w jasnopopielatym garniturze i w ciemnopopielatej koszuli. Zatrzymuje wzrok płowa, rozwichrzona czupryna Szołochowa, smągła twarz Jorgo Amado, filigranowy Wietnamczyk Thong Pham i Mulak Raj Anand w wysokim białym zawoju.

Wśród grona obradujących wyróżnia się piękny profil Zofii Nałkowskiej i krótko przycięta grzywka Marii Dąbrowskiej. Jest Broniewski i Parandowski, Kotarbiński i Dembowski, Chałasiński, Ossowski, Duniowski i Eibisch, Syrkusowa, Fitelberg, Ewa Bandrowska-Turska, Leon Schiller — pół setki polskich uczonych, artystów, pisarzy, muzyków i działaczy kulturalnych z Jerzym Borejszą, inicjatorem Kongresu i jego sekretarzem generalnym.

Wrocławski Kongres Intelktualistów był szczytowym osiągnięciem działalności Jerzego Borejszy, który swoim rozmachem i energią górował nad innymi ówczesnymi organizatorami życia kulturalnego. Udając się do Wrocławia jako Komisarz Rządu dla Spraw Kongresu i jako Sekretarz Generalny Polsko-Francuskiego Komitetu Organizacyjnego Kongresu, Jerzy Borejsza udzielił Polskiemu Radiu wywiadu, w którym powiedział, że zwołanie Kongresu jest wyrazem „niegasnącej odwagi i optymizmu ludzi nauki i kultury w odbudowę zniszczonych przez wojnę i zagrożonych po wojnie wartości kulturalnych świata” i podkreślił, że miejscem zwołania Kongresu jest Wrocław „dlatego, że Wrocław i granica Odry i Nysy jest granicą trwałego pokoju, która zapewnia Polsce, a tym samym Europie stan realny utrzymania pokoju”.

Kończąc swoją wypowiedź Borejsza wspomniał, że lista osób zaproszonych na Kongres świadczy o tym, że „Kongres ma dość szerokie podstawy, skoro z jednej strony będziemy mieli Abbé Bouliera z Francji i Grahama Greena z Anglii, a z drugiej — Szołochowa i Fadiejewa. Jeśli na Kongresie obok siebie znajdują się Julian Huxley i Needham, jeśli będziemy mieli szereg akademików radzieckich i szereg uczonych katolickich z Włoch — jest to świadectwem tego, że wachlarz Kongresu jest szeroki i że będziemy mieli na nim delegacje reprezentujące różne kierunki myśli i kultury ludzkiej”.

Prasowa obsługa Kongresu przez SAP wspólnie z RAP — Robotniczą Agencją Prasową — były wstępem do mającego nastąpić połączenia obu redakcji po zjednoczeniu się PPS z PPR. Do Wrocławia pojechaliśmy autobusem w niedzielę rano, 22 sierpnia, całą ekipą wraz z własnym dalekopisem, własnymi maszynistkami i licznym zespołem redakcyjnym, któremu z ramienia PPS przewodził Teofil Głowacki, a z ramienia PPR Cywiak. Z „Expressu” wydelegowano na Kongres między innymi Anetę Rutkowską-Wolffową i Juliana Żebrowskiego,

artystę plastyka, rysownika i karykaturzystę, którego sylwetki kongresowe zaczęły się ukazywać w rubryce „Spacerkiem po Wrocławiu”. RAP reprezentowała red. Bronisława Mercqwa, a SAP niżej podpisany.

Nie przypominam sobie, aby ekipa nasza miała jakieś większe oparcie w Biurze Prasowym Kongresu. Zastępcą szefa Biura był Tadeusz Borowski redagujący równocześnie kongresową gazetę „W obronie pokoju”. Nasza obsługa prasowa SAP i RAP delegowana na ten Kongres nie miała bliższego kontaktu ani z Biurem Prasowym Kongresu, ani z Tadeuszem Borowskim, który zajęty był ważniejszymi sprawami niż obdzielanie nas chlebem codziennym aktualnych spraw kongresowych. Toteż wszystko, o czym donosiliśmy, miało charakter marginesowy, nie dotyczący istotnych spraw Kongresu. Wszelkie ważniejsze sprawy, wyłaniające się w toku obrad, oraz rozmowy i wywiady z uczestnikami Kongresu przechodziły przez Biuro Prasowe Kongresu i przez PAP.

Kongres obradował w auli Politechniki, posiłki uczestnicy jadalі w przestronnej restauracji na Wystawie Ziemi Odzyskanych. Tam też toczyły się nieoficjalne rozmowy, następowały starcia i krzyżowały się poglądy, jako że między poszczególnymi delegacjami zarysowały się różnice stanowisk, niekiedy dość znaczne. Nie przeszkadzało to jednak przyjacielskim rozmowom i atmosferze ogólnej serdeczności.

Przez cztery dni toczyły się obrady kongresowe, pełne wypowiedzi technicznych to optymistyczną nadzieją, to pełnych obaw o przyszłość świata, jego kultury i pokoju. Socjolog — profesor Józef Chałasiński analizuje społeczną genezę wojen; znakomity biolog Julian Huxley, dyrektor generalny UNESCO, zastanawia się nad istotą wojny z przyrodniczego punktu widzenia: „Nie może być zgodna z prawami przyrody taka wojna, jak ta, w której całe narody zamieniane są w niewolników, jak to się stało w Polsce, wojna, w której całe kraje, wraz ze wszystkimi ich zasobami naturalnymi i kulturalnymi, obracane są w perzynę...” „Taka wojna może odwrócić bieg dziejowego zegara i wtrącić cały świat w nowy wiek ciemności!” — podają słowa pełne przestrogi. „Taka wojna jest groźbą dla postępu gatunku ludzkiego!”

Mówcy przypominają międzywojenne wysiłki twórców nauki i sztuki o stworzenie wielkiej siły oporu przeciwko „fabrykantom niemocy społeczeństw, kongresy organizowane przeciwko militarystyce i w obronie pokoju, z których klimatu wyrasta obecny kongres”. Robiąc ich przegląd, Jarosław Iwaszkiewicz podkreślił różnicę między tamtymi kongresami, na których dyskutowano o braterstwie ludów i o porozumieniu międzynarodowym, przygotowując za plecami broń dla nadchodzących wydarzeń, a obecnym Kongresem, który pragnie „bronić nie tylko kultury europejskiej, ale przeciwstawiać się wątpliwościom ogarniającym pisarzy i uczonych co do jej zasadniczej wartości, pragnie stwierdzić,

że humanizm jest wartością nie tylko istotną, ale także wartością trwałą i mającą przyszłość przed sobą”.

Podczas obrad Picasso zawzięcie szkicował „profile” uczestników Kongresu, mówiąc: „Trzeba, aby każdy wyrażał się w swoim języku, a moim przemówieniem kongresowym jest to, co widzicie, oraz to, co przywiozłem z sobą!” Przywiózł zaś do Polski zbiór wykonanych przez siebie ceramik, które po zakończeniu Kongresu ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie. Słynny jego gołąbek pokoju powstał w rok później, zapewne pod wrażeniem wrocławskiego Kongresu. Obok Picassa zawzięcie szkicował również Feliks Topolski, mieszkający stale w Anglii, w czasie wojny korespondent wojenny i autor przejmujących albumów *Britain in War* i *Russia in War*.

Przechadzający się ulicami Wrocławia intelektualiści noszą znaczek kongresowy przedstawiający grecką kolumnę z gałązką oliwną, symbolem pokoju i niezniszczalnych wartości kulturalnych. Chodzą i oglądają ocalałe wśród gruzów średniowieczne zabytki, podziwiają Ratusz — perłę trzynastowiecznej architektury, mając w uszach usłyszane niedawno słowa: „Przyprowadził Was tutaj niepokój o cały świat, o jego losy, niepokój o Wasze domy, rzeczy, sprawy, niepokój o naszą kulturę...” Oglądają Wystawę Ziem Odzyskanych pokazującą, jak cały kraj dźwiga się ze zniszczeń wojennych, jak się odbudowuje i tworzy nowe wartości kulturalne.

Zamknięcie Kongresu nastąpiło w sobotę, 28 sierpnia, uchwaleniem rezolucji głoszącej między innymi:

„My, działacze kultury, nauki i sztuki z 46 krajów, zgromadzeni w polskim mieście Wrocławiu, zwracamy się do intelektualistów całego świata: na Was spoczywa wysoka odpowiedzialność wobec naszych narodów, wobec ludzkości, wobec historii.

Podnosimy głos w obronie pokoju, w obronie swobodnego rozwoju kulturalnego narodów, w obronie niepodległości narodowej, ich ścisłej współpracy i przyjaźni...

Kongres protestuje przeciwko korzystaniu z nauki dla celów niszczenia i wzywa do mobilizowania wszystkich sił, aby użytkować środki naukowe do szybkiego zwalczania nędzy, ciemnoty, chorób i niedostatku, od których cierpi większość ludzkości...

Podnosimy nasz głos, posłuszni wezwaniu do porozumienia się wszystkich narodów świata dla ratowania humanizmu i wartości kulturalnych...”

Ostatni dzień obrad Kongresu zakończył się w Hali Ludowej wielką manifestacją ludności Ziem Odzyskanych na rzecz pokoju światowego oraz pożegnaniem rozjeżdżających się uczestników Kongresu na wie-

czornym przyjęciu w rzęsście oświetlonych pięknych salach historycznego Ratusza.

Wrocławski Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju, obradujący w powiewach zimnej wojny, ogarniającej Europę, był krzykiem ludzkości pchanej na skraj przepaści nowego konfliktu. Był protestem intelektualistów przeciwko rozłupywaniu świata na przeciwstawne sobie polowy. Usiłował podkreślić jedność kultury ludzkiej. Był wielką demonstracją zgromadzonych na nim głów i serc, przepojonych troską o przyszłość kultury i wartości humanistyczne całej ludzkości.

Po zakończeniu Kongresu ekipa nasza odjechała w niedzielę rano, 29 sierpnia, po tygodniowym pobycie we Wrocławiu, a delegaci kongresowi specjalnym pociągiem do Warszawy, w której mieli zabawić trzy dni, aby później wyruszyć na dziesięciodniową wycieczkę po Polsce.

*

Odchodziła powoli jesień 1948 roku, a z nią *la belle époque* naszego powojennego dziennikarstwa. Pełnego śmiałości i świeżości, pomysłów i zapału. Po latach przymusowego postu od jawnej dziennikarskiej twórczości — każdemu, który dopadł pióra, zdawało się, że osiodłał pegaza. Z niehamowaną niczym zachłannością rwaliśmy się do odbudowywania polskiej prasy, niepomni na własne kłopoty i nie szukający osobistych korzyści. Zachłyśnięci odzyskaną swobodą słowa po latach milczenia pieściliśmy każde zdanie i cyzelowaliśmy myśli wychodzące spod pióra. Dziennikarz czy publicysta o niczym innym nie myślał, poza jak najpiękniejszym, najlepszym i najprawidłowszym wcielaniem w swój tekst poruszanych zagadnień i opisywanych zdarzeń.

Ostatnim, łabędzim śpiewem tej *belle époque* mojego powojennego dziennikarstwa był reportaż z wręczenia przodownikom pracy odznak Odbudowy Warszawy we wrześniu 1948 r.

— Cichy zwykle pałacyk SARP, dawna rezydencja Zamoyskich, rozbrzmiewał gwarem licznie zebranych malarzy, rzeźbiarzy, architektów, literatów, muzyków, aktorów. Przybyli tam, aby wziąć udział w uczczeniu tych, którzy odbudowują naszą stolicę.

„Nie myślałem, że będzie tak ładnie i tyle narodu i taka czerwona wstążka” — mówił jeden z pracowników SPB i wskazał koledze drzwi przepasane szeroką jedwabną wstęgą.

„Jak też was odrobili? Bo mnie, to nawet podobnie” — odzywa się któryś z przodowników „Mostostalu”...

Po przecięciu czerwonej wstążki przez min. Dybowskiego i otwarciu drzwi przodownicy pracy, w odświętnych marynarkach, z żonami i ro-

dzinami, ujrzeni spoglądające na nich ze ścian portrety tych, którzy wznoszą z gruzów swoją stolicę.

Kasper! Stachlewski! Kubajczyk! — wywołują przodowników w celu wręczenia im odznak Odbudowy Warszawy.

Siebie — to każdy już widział, ale kolegi namalowanego przez prawdziwego artystę plastyka, jeszcze nie. Bierze więc ciekawość, a równocześnie duma, żeby pokazać swój portret najbliższym... Chodzą wzdłuż ścian, przyglądają się swoim podobiznom, dyskutują i tłumaczą:

„To rysunek, ale znaczy to samo, co tamten zrobiony farbami. A Henryka to namalowali z heblem!”

„Na rozchodzących się późnym wieczorem, po zakończeniu uroczystości, patrzyły ze ścian pałacu twarze czterdziestu przodowników odbudowy Warszawy — nowoczesnych hetmanów dowodzących hufcami roboczymi na polu nie walki już, lecz pozytywnej pracy” — tymi słowami zakończyłem reportaż z tej wystawy.

Praca dziennikarska w okresie późniejszym nie sprawiała mi już takiej przyjemności. Pionierski okres polskiego dziennikarstwa powoli odchodził w przeszłość. Lata, które nadchodziły, stawiały przed dziennikarzami inne, trudne w praktycznej realizacji zadania.